

Wiadomości Polskie

THE
POLISH NEWS
WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

W NUMERZE:

Zygmunt Nowakowski: Sprzęt podobny do fortepianu. — Ksawery Pruszyński: Paderewski. — Antoni Słonimski: O wojnę ludów. — Zbigniew Grabowski: Wielka okazja. — Tadeusz Kiepiński: O właściwą nutę. — Jerzy Horzelski: Federacje a język. — dw.: Piękno Polski. — Alfa: Rozmaitości. — Korespondencja. — Skarbnica Polska. Stanisław Witkiewicz: „Bitwa pod Grunwaldem” i „Hold pruski” Matejki.

ROK II — NR. 28 (70) — LONDYN
NIEDZIELA 13 LIPCA 1941

REDAKCJA
36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1
Telefony: MUSeum 2346 i 2563

ADMINISTRACJA
9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1
Telefon: HOLborn 0868

PRENUMERATA
kwartalnie
w Anglii 6s. 6d.
w innych krajach \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać czekiem lub „Postal Order” na zlecenie:
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

SPRZĘT PODOBNY DO FORTEPIANU

Gdy dn. 28 czerwca 1919 r. samochód Paderewskiego zjechał pod pałac wersalski, tłum poznał, kto jedzie. Ten i ów palcem wskazał drugiemu, ktoś szepnął jakieś słowo, ktoś je powtórzył, i słowo pobiegło przez plac, wróciło, wzmoгло się na siłę, by nagle wystrzelić krzykiem: „Vive la Pologne!”.

Gdy Paderewski zjawiał się na estradzie, sala wstawała w wielkiej ciszy. Stali nawet monarchowie. Długo trwało, zanim ozwał się pierwszy okłask, znacznie dłużej trwało, nim okłaski zmilkły, ustępując miejsca krzykowi wielkiemu: „Niech żyje Polska!”.

Gdy Paderewski umarł, cisza jest jeszcze większa niż w chwili, gdy wstępował na estradę. Wstają wszyscy i patrzą w górę, ponieważ estrada razem z nim w trumnie idzie coraz wyżej i wyżej. Niema w tej chwili nikogo, kto by obnażył głowy. Cisza jest ogromna, śmiertelna. Rece nie składają się do okłasku. On już nie zagra, choć jest na estradzie, na koturnie najwyższym grobu.

W tej ciszy wielkiej słychać przecięż krzyk jeszcze większy niż cisza, krzyk idący poprzez świat. Krzyk: „Niech żyje Polska!”.

manewrował wśród min, Paderewski grał dla nas!”.

Paderewski jechał do Polski, by zagrać czy może tylko spróbować zagrać inną pieśń swego życia, jechał, aby manewrować wśród min młodego sejm i młodej państwowości polskiej, mimo to usłuchał prośby oficerów i siadł do fortepianu, który jednak zawiódł oczekiwania i artysty i słuchaczy. Okazał się instrumentem niesformnym i niepodatnym w tym samym stopniu, w jakim niesformny był sejm gdy na jego estradzie pojawiał się Paderewski-premjer. Może już w tym momencie wyłęgała się decyzja Korjolana?

Więc na pokładzie H.M.S. „Concord” Paderewski naprzekór chęciom najlepszym nie mógł zagrać. Jakże będzie zwał się ten Okręt Rzeczypospolitej, na którym popłynie do Polski sprzęt podobny do fortepianu? Nie wiem, ale wydaje mi się, że będzie on wyrażał zgodę, harmonię najwyższą, osiągalną tylko w sztuce. Fale



Paderewski
portret księżnej Louise of Argyll

tych razem uspokoją się, grając wielkie „largo” czy „andante maestoso” żalobnego marsza. Ale i w tym marszu, choć żalobnym, tkwić będzie głęboko krzyk jedyny, wypełniający i fortepian podobny do trumny i trumnie podobną do fortepianu, zatem krzyk, który idzie przez całe życie i przez zgon i po zgonie, krzyk „Niech żyje Polska!”.

Poza tym krzykiem, w wielkiej twórczości Paderewskiego i w całym jego życiu niema nic innego. Polska i tylko Polska.

Powiedzenie Byrona „Muzyka jest dziwną rzeczą” wydaje się nam w pierwszej chwili banalne, i dziwny się, że Norwid w wierszu „Fortepian Szopena” posłużył się temi właśnie słowami jako mottem. Analizując życie Paderewskiego, zaczynamy lepiej rozumieć owe słowa i sens ich. Muzyka, jeśli idzie o Paderewskiego, jest rzeczą naprawdę dziwną. Za życia i po śmierci. Trudno oprzeć się nam wrazeniu, że trumna zagra, że się rozdzwoni, że zahuczy, że się rozplacze Szopenem. Ona gra ciągle. Ona jest mu posłuszną nawet teraz. Ona jest w pewnej mierze... koncertowa. Właśnie jak fortepian.

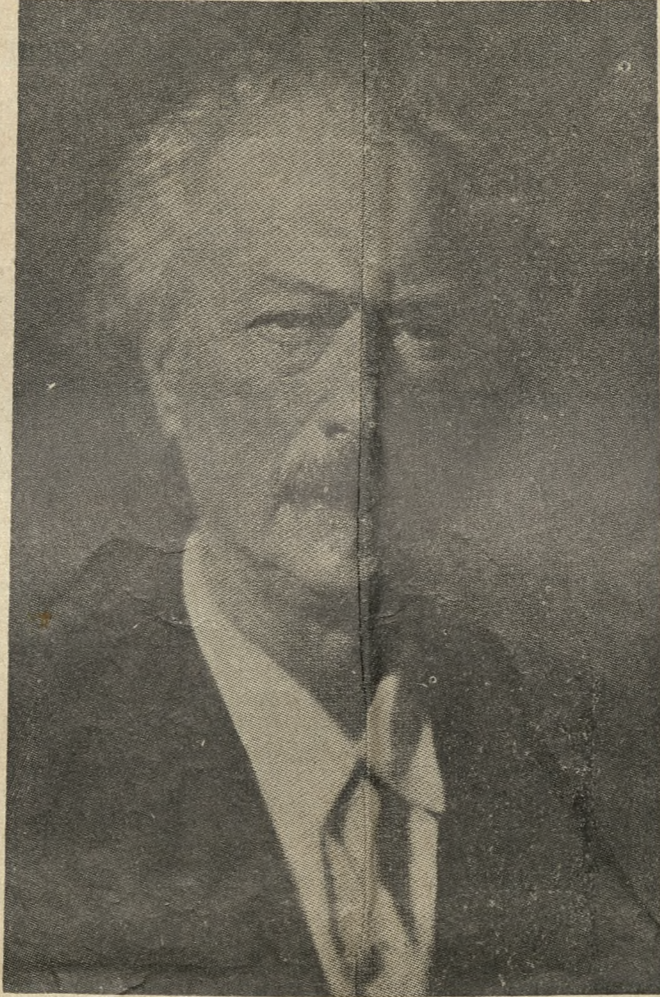
Tak, muzyka w życiu Paderewskiego jest dziwną rzeczą. Był swego czasu jakiś młody centurjon, którego jedynie dla gładkości lic legionistów rzymscy obwołali cesarem, czy jednak Paderewski jest Paderewskim dzięki muzyce? A może jest nim naprzekór muzyce? Czy muzyka wniosła go, czy też mu ciążyła? Czy przyjęła mu skrzydła, czy też, przeciwnie, stanowiła balast?

Jules Cambon, przewodniczący Rady Ambasadorów, człowiek, który patrzył z bliska na działalność Paderewskiego w Paryżu podczas konferencji pokojowej, powiedział co następuje: „Nawet gdyby nie był Paderewskim, zdziałalby niezmiernie wiele dzięki swemu talentowi politycznemu... „Nawet, gdyby nie był!”. Nie wiem, czy wielki poeta, autor „Atali” i „Męczenników”, Chateaubriand, miał wątpliwości na temat, czy jest lepszym poetą czy lepszym ambasadorem Francji, ale podobne wątpliwości nasuwały się Paderewskiemu, który sam o sobie zwykł mawiał: „Nie wiem, czy umiem grać, natomiast wiem, że umiem mówić!”.

Może ten sąd wielkiego artysty o sobie samym był zasadniczą pomyłką, w której zresztą sekundowali mu inni, więc np. wielki również muzyk, Saint-Saëns. Twierdził on o Paderewskim, że „był to genjusz który także grał na fortepianie”. „Także” Saint-Saënsa stanowi przeciwieństwo cambonowskiego „Nawet gdyby nie był Paderewskim”.

Ale on był Paderewskim! Urodził się Paderewskim!

Muzyka otwierała mu najszybciej wszystkie drzwi, wprowadzała go na dwory monarchów i wielkich tego świata, słała mu się mostem pod nogami. Zdarzało się



Paderewski



Rodzice i siostra Paderewskiego



Paderewski z gen. Władysławem Sikorskim i z prezesem Stanisławem Nizkorajczykiem (Palm Beach 1941)

jednak, że zamykała przed nim drzwi na wszystkie pustki, i otwierać jej musiał nie Paderewski-muzyk ale Paderewski-człowiek. Oto jesteśmy w Paryżu w r. 1919. Gdy Clemenceau, ten złośliwy, ponury a wielki Clemenceau, po raz pierwszy ujrzał Paderewskiego, spytał go podstępnie:

— Czy pan jest krewny sławnego pianisty?

— Ja właśnie jestem tym pianistą, panie premjerze! — odrzekł Paderewski.

— I pan, pan, wielki artysta, został premjerem? Ach, jakież to upadek! Clemenceau zachichotał, poczem obaj się roześmiali.

Większość aktorów konferencji wersalskiej, protagonistów i pomniejszych, a nawet i statystów, przeniosła się już dawno na łono wieczności. Po ziemskim padole przechadza się ich niewiele. Dajmy im pokój! Pocóż wspominać nazwiska, któ-

ciół, którzy ze wszystkich sił odradzali mu powrót do Polski jako szaleństwo. Pojechał.

We mgle londyńskiej nie spotkali się nigdy. Zestawianie ich obu, nawet dzisiaj, byłoby próbą skazaną zgóry na niepowodzenie. Obaj byli ludźmi z zupełnie odmiennej gliny, byli gwiazdami odległych konstelacji. Jeśli powiedzieć można z całą ścisłością, że nie spotkali się we mgle londyńskiej, z jeszcze większą ścisłością stwierdzić należy i to, że drogi ich rozmięły się w słońcu wolnej Polski. Ale właśnie dzisiaj powiedzieć trzeba, że obaj kochali Polskę ponad wszystko inne. Życie ich obu, w inny wprawdzie sposób lecz tak samo, bo po brzegi, wypełniała Polska. Tylko Polska.

Dzisiaj spotkają się tam, dokąd wszystkich niesie statek, na którego żaglach widać słowo „Zgoda”. Albo „Harmonja”. Jest to harmonja z gatunku wiecznych. Słychać tam pieśń, graną przez Mistra na szklanych harmonikach kregach. Jest to pieśń godna Boga i Natury. Pieśń tworzenia.

Może to pieśń, podczas której tony harmoniki nie wstrzymują się w pedzie, może ta pieśń, to siła, dzielność? Może ta



Paderewski
rysunek Burne-Jonesa



Paderewski z siostrą

rych nieszczęsną aktualność do kwadratu podnosi chwila obecna? Mówmy raczej o tych, którzy spacerują po polach elizejskich.

Jest tam pomiędzy nimi Clemenceau. Zachował pewnie strój niedbały, swą nieśmiertelną „calotte”, swą łaskę a raczej łagą sekąta i swe historyczne, bawelniane rękawiczki. Pewnie i Paderewski zachowa swój niezwykły strój z czasów bardzo „ancien régime”u: czarny długi a wykłuwający surdut, biała kamizelka, biały krawat i bućki zapinane, bućki „w szpic”. Gdy obaj spotkają się tam, w górze, Clemenceau, ponury samotnik i odludek pół elizejskich, spyta:

— Ach, to pan jest tym genialnym pianistą Paderewskim?

— Nie! — będzie brzmiała odpowiedź. — Ja jestem ambasadorem Polski.

Odpowiedź prawdziwa i trafna. Paderewski, choćby nawet chciał, nie mógłby już być nieczym innym, niż tylko ambasadorem czy adwokatem Polski. I to adwokatem najlepszym! A list wspólny, podpisany przez Komitet Czterech, więc przez Wilsona, Clemenceau, Orlando i... Lloyd George'a, słusznie stwierdza: „Niema chyba państwa, które mogłoby pragnąć lepszego adwokata niż on”.

Zatem i w obecnej rozmowie z „tygrysem” Clemenceau, Paderewski nie przestanie być ambasadorem czy adwokatem, nie przestanie mówić o sprawie polskiej. Wyszuka Wilsona, aby punkt trzynasty rozszerzył o to, co nam przypaść powinno, więc o Prusy Wschodnie. Mówić będzie z właściwym sobie ogniem, z płomieniem w oczach, z uporem, z siłą. I może tam, w górze, przeżyją oni wszyscy jeszcze raz moment podpisywania pokoju. Może z wysokości wmisza się w tę sprawę Clemenceau i zabierze głos, wołając jeszcze bardziej twardo i nieustępliwie, niż w r. 1919, „Faites entrer les Allemands!”.

W czasie, gdy Paderewski przeżywał chwile największych tryumfów na gruncie Anglii, bawił w Londynie inny Polak. Uciekł właśnie z Rosji, ze szpitala oblężonych, gdzie przebywał, przytomnym, ach, jak przytomnym, będąc. Zmylił lekarzy, zmylił dozorców, zmylił wreszcie pościć i przedostał się zagranicę, do Anglii.

Paderewski był na ustach wszystkich. Ten drugi krył się w cieniu. Paderewski był na afiszach, w gazetach, ten drugi w kartotece podejrzanych cudzoziemców. Po ulicach Londynu, po całej Anglii krążyła olbrzymia platforma, na której towarzyszyły artyście trzy fortepiany. Ogromny plakat z portretem Paderewskiego dawał znać, do kogo należą skrzynie.

Ten drugi mieszkał współcześnie w ubogim domku dzielnicy White Chapel. Zresztą mieszkał krótko, ponieważ z kraju przyszły wieści o jakiejś wielkiej „wspycie”, o aresztowaniach, o wyrokach śmierci. Wilje, uboga wilje, spożył w gronie przyja-



Paderewski z siostrą

Trzeba, jak Norwid, poetą być i marlarzem równocześnie, aby zauważyć, że fortepian jest „sprzętem podobnym do trumny”. Istotnie, fortepian jest nawet bardzo podobny do trumny, gdy jednak dzisiaj myślimy o Paderewskim, — jakież to dziwne skojarzenie obrazów, — trumna wydaje się nam być sprzętem podobnym do fortepianu.

Jeśli dawniej razem ze zmarłym sponaść musiał na stosie koń jego wierny i sprzęty ulubione i wszystko co zmarły kochał za życia, tedy wydaje mi się że Paderewski powinien sponaść na stosie w trumnie, która byłaby podobna do fortepianu. Byłby to pogrzeb patetyczny w tym samym stopniu co symfonia.

Lecz on nie sponaść na stosie. Przeciwnie, sponaść tam, gdzie winien spocząć. I wracać będzie tą drogą, która mu przystoi. Przez morze. Okręt zawiśnie do Gdańska. Będzie to punkt trzynasty jego życia. Punkt ostatni. Przez Gdańsk do Polski.

Cyncynatem będąc, przecięż jak Korjolan opuścił kraj. Szczególny Korjolan. On sam siebie skazał na banicję, żyjąc sercem i myślą każdą w Polsce, która była inna niż Polska rzeczywista. Nie chciał żyć w Polsce prawdziwej, grając ciągle Polskę, jak w wierszu Norwida, „od zenitu wszechdoskonalsi dziejów wzięta tęczą zachwyty”. Grał Polskę złotopieczola, którą poznałby na krańcach bytu, czyli tam właśnie, gdzie sam dzisiaj jest. On ją poznaje teraz z tej estrady, której na imię wieczność.

Był skłócony z polską rzeczywistością, której za rzeczywistość uznać nie chciał. Bardziej rzeczywista była mu Polska na strunach fortepianu niż Polska na mapie, choć o tę mapę walczył i dużą jej część wywalczył.

Raz, było to w grudniu 1918 r., Paderewski płynął do Polski na pokładzie H.M.S. „Concord”. Czyli po polsku okręt zwał się „Zgoda”. Albo „Harmonja”. Fale były wzburzone, statek zaś wymijając musiał zasadzić min na morzu Północnym. Pewnego dnia oficerowie angielscy zaprosili artystę do swej messy i jeden z nich odezwał się: „Wyobraźcie sobie, coby powiedzieli nasi kolezdy, gdybyśmy mogli pochwalić się przed nimi tem, że właśnie wtedy, gdy „Concord”



KSAWERY PRUSZYŃSKI

PADEREWSKI

Przeszedł przez świat jak dziwne, niesamowite widmo, jak wydarzenie i zjawisko, jak postać zawleczona w prawdziwe dzieje i do rzeczywistości dziającej się historii z jakiegoś fantastycznego filmu, z jakiejś nierzeczywistej powieści. Nie był nigdy ani politykiem, ani mężem stanu, a w chwili przełomowej historii zdziałał więcej niż działał politycy, mężowie stanu, całe narody i armie. Inni mieli za sobą potęgę materji czy potęgę ducha, mieli armje lub mieli banki, stal za nimi kościół, lub popierała ich masoneria, reprezentowali instynkt zachowawczy społeczeństw lub ich dążenie do postępu, Lud czy Kapital, Rewolucję czy Ład, Wolność czy Władzę. Mieli za sobą choćby potęgę słowa, która nigdy nie jest w pełni samą sztuką i zawsze w stopniu większym czy mniejszym wyraża pewne obecne tendencje, zabarwia ją w ten lub inny, zawsze nieartystyczny, sposób. Paderewski był sam. Nie popierała go nigdy w pełni żadna wielka partja, żaden wielki ruch polityczny, a ośrodki, jakie się wokół niego w rozmaitych czasach tworzyły, ludzie jacy wokół niego tak czy owak się kreśliłi, nigdy nie podtrzymywali jego wielkości, najczęściej sami się wokół niej wieszali. Paderewski był wielki sam przez się. Był wielki siłą która emanowała z niego, działała na wyobraźnię ludzi przez jego sztukę, jego słowo, jego spojrzenie, jego postać. Nie są to wcale rzeczy zwykłe, by wielki artysta nie przestawał być wielki wtedy kiedy schodzi z estrady, kiedy otwiera usta by mówić, kiedy od sztuki przechodzi do polityki.

Otóż Paderewski posiadał ten dar w stopniu niezwykłym, niesamowitym. Na Zachodzie nikomu nie wydawało się dziwne, że z jego słowem i zdaniem mógł liczyć się Woodrow Wilson, kiedy do swych propozycji pokoju dopisał ów wielki warunek: „Polska wolna i niepodległa z dostępem do morza”. W pamiętnikach Clemenceau Paderewski jest wspomniany z szacunkiem, w którym drga wzruszenie naprawdę szczere, a „stary tygrys” ani nie wrzeszał się łatwo, ani nie schlebiał nikomu. Lloyd George oddaje hołd Paderewskiemu, aczkolwiek sprawy polskie nie narażyły u brytyjskiego premiera na zbyt wiele życzliwości czy zrozumienia. Euro-

czy „oficjalisty” ziemiańskiego, z niejakiej Kuryłówki. W tym domu gdzie oszczędza się na ubraniach dla dzieci, nie oszczędza się na wykształceniu dla nich, na nauczycielach języków, nauczycielach muzyki, a przecież jest to daleka od kolei Ukraina i skromny dom inteligencji! Oto jak głęboka była ówczesna kultura inteligencka, jeszcze przed swem wzbogaceniem licznymi dopływami innymi, które miały przynieść lata najbliższe. Paderewski wyrasta w takiej właśnie atmosferze, w klimacie nasyconym kulturą naprawdę europejską, zachodnią, uniwersalną. Zdumiewa ona w niejednym jego mistrzów w Berlinie i Wiedniu; stworzy w każdym razie doskonały podkład, najlepsze warunki do tego by mógł się rozwinąć we wszystkich swych

FIRST CONCERT,
TUESDAY EVE, NOVEMBER 17TH, 1891.
AT 8 1/2 O'CLOCK.
PROGRAMME.

1. OVERTURE—A. Springhar, COLEMAK ORCHESTRA.
2. CONCERTO—No. 2, in G minor, CHARLES SAINT-SAENS
Andante—Moderato—Fin. **IGNACE J. PADEREWSKI.**
3. AIRS DE BALLET from *Polignac in Antioch*, CLAUDE ORCHESTRA.
4. PIANO SOLI—(a) Nocturne
A. Prelude, FRED CHOPIN
B. Valse,
C. Etude,
D. Ballade,
IGNACE J. PADEREWSKI.

INTERMISSION.

5. CONCERTO—No. 1, Op. 11, **IGNACE J. PADEREWSKI.**
Allegro—Andante—Allegro alla fine.
6. "RIDE OF THE WALKYRIES", WAGNER ORCHESTRA.

Steinway & Sons' Pianos used at these Concerts.
The first New York appearance, at Carnegie Hall, with Walter Damrosch conducting.

Program pierwszego koncertu Paderewskiego w Nowym Jorku

wościach ten wielki, jedyny w swoim rodzaju, talent.
W Polsce jest mu — to jasne przecież — za ciasno, tak samo jak za ciasno było



Paderewski z Jackie Cooganem

fol. Keystone



Marjorie Lawrence, znakomita sopranistka „Metropolitan Opera” w Nowym Jorku, sprzedaje Paderewskiemu bilet na koncert na rzecz ofiar wojny w Anglii (grudzień 1940)

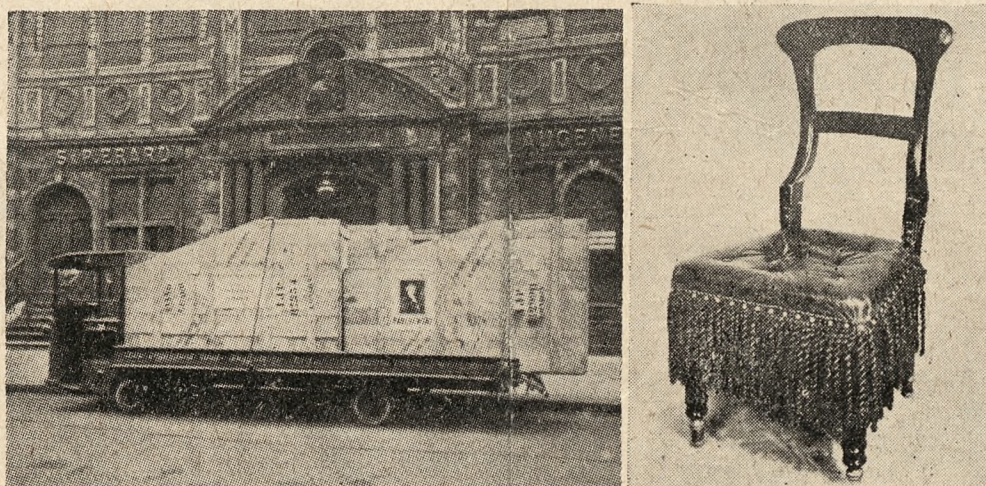
fol. Keystone



Paderewski z Saint-Saensem grają w Vevey koncert na dwa fortepiany



Ręce Paderewskiego



Z lewej platforma z trzema fortepianami Paderewskiego na ulicach Londynu, z prawej krzesło-taboret Paderewskiego

przypłynęła niepokojąco olbrzymia struga złota... A wreszcie, Paderewski idzie swojemi drogami. Nie wieciec nigdy na czyje cele da swoje złoto, nie wieciec jaką akcję wesprze, i kiedy od niej odstąpi. Polska jest już wtedy krajem obliczonych, odmierzających się ludzi. Jest już podziębna na barjerki i przegrodki, wedle których ten co uznaje talent Wyspiańskiego nie może uznawać Rydla, ten który ceni Sienkiewicza nie może cenić Żeromskiego, kto jest społeczeństwem nie może czytać „Ogniem i mieczem”, a kto jest endkiem nie powinien wychodzić poza ramy „Rerum novarum”. Polska jest już w tych czasach jedną wielką polityczną parafją. Co się na to złożyło? Anormalne warunki, w któ-

rych żyje naród polski w XIX w. i które sprawiają że każda myśl do tych spraw własnych polskich tylko wraca; żubienie społeczeństwa polskiego w większości ziem polskich; wreszcie niedostatek szkół, kultury, oświaty i wychowania dla tych warstw kulturalnie młodych, które proces społeczny wysuwa coraz to silniej w sam nurt życia narodowego. Zjawisko to można zrozumieć, ale to zrozumienie nie zmienia w niczem faktu, że pomiędzy Paderewskim-Europejczykiem a Polską sparafjaniałą musi trwać i rosnąć niezrozumienie i obojęt.

O władzę, o rząd dusz, o zasługi w odbudowaniu ojczyzny startowali zawczasu ludzie bardzo różni. Ale start każdego

z nich i bieg dokonywał się w samej Polsce, w jej czterech ścianach, na bieżniach, na których od lat wielu torem „pracy pozytywnej” i torem walki „podziemnej” toczyły się dzieje działaczy polskich. Paderewski znowu przyszedł późno i przyszedł z zewnątrz. A doszedł jeden z najpierwszych. Przyniósł w posagu przyjaźń Wilsona, szacunek Clemenceau, znajomość, uznanie, serdeczność wielu najwybitniejszych ludzi na świecie. „Kolosalne kontakty!”, jakby powiedział w piętnaście lat potem jakiś mandaryn emeszecki. „Wielkie nazwisko”, jakby orzekł manager koncertowy. I właśnie z owego wielkiego świata, w którym indywidualizm nie był brakiem, w którym posiadanie osobowości własnej nie było

METROPOLITAN OPERA HOUSE.
Sunday Evening, March 27th, 1892.
AT 8 1/2 O'CLOCK.
FOR THE BENEFIT OF THE WASHINGTON ARCH FUND.
LAST APPEARANCE OF
PADEREWSKI,
(Created by George on March 29th, 1892)
and his sister
Boston Symphony Orchestra,
GENERALLY OFFERED TO MR. PADEREWSKI FOR THIS OCCASION BY COL. HIGGINSON,
ARTHUR NIMICH, Conductor.

PROGRAMME.

OVERTURE—Zakochany RICHARD WAGNER
CONCERTO in A minor ROBERT SCHUMANN
OVERTURE—Polignac in Antioch CLAUDE
CONCERTO—Op. 11, No. 1 **PADEREWSKI**
POISSE SYMPHONIQUE—Le Rossignol CHARLES SAINT SAENS
HUNGARIAN FANTASIA FRANZ LISZT
PADEREWSKI

STEINWAY & SONS' PIANO USED AT THIS CONCERT.

Program jednego z licznych koncertów dobroczynnych Paderewskiego

wadą, talent artystyczny przywarą, a koncertowanie śmiesznością, wszedł na nasze polskie podwórko rozdygotane kokoszem wojnami. Napewno nie był głupszy od

na prasę i t.d. Po kilku latach zaczął znowu grać. Grał jak zawsze na wielkie dobroczynne cele, na inwalidów wojennych polskich, brytyjskich, francuskich. Znowu setki tysięcy przepłynęły przez jego ręce, te ręce artysty o szczodrości gestów magnata. Powoli, powoli, stawał się zjawiskiem coraz bardziej niematerialnym, coraz mniej z tego świata. Anglicy wiedzieli, że grał jeszcze na dworze starej królowej Wiktorji. Amerykanie pamiętali, że był w żażyłej przyjaźni z Prezydentem Rooseveltem starszym (stryjem obecnego). Dla Francuzów był on postacią współczesną najlepszym latom przedwojennym Trzeciej Republiki. Gdy koncertował w Paryżu, król Albert i królowa Elżbieta belgijscy przybyli z Brukseli, a gdy artysta pojawił się na estradzie, oboje, a za nimi cała sala, powstali ze swych miejsc. Tu, nad Sekwaną, nad Tamizą, za Oceanem, Paderewski był w wielkim, uniwersalnym świecie, w którym talent ma miejsce przed mieczem, a myśl czyni wyprzedza. Przez jego sztukę, tak wyjątkową, o tak indywidualnym zabarwieniu i charakterze, ten świat daleki i zachodni wyczuwał złote blaski wielkiego ludzkiego geniuszu. I kiedy utożsamiano go z Polską, to poprzez tego starego człowieka, którego palce umiały tyle wyczarować i wygrać z klawiszy, szła na świat daleki aureola, legenda ostatnia jakiejś Polski nie tylko zgrzebnej, zabiedzonej, na przedszkolu cywilizacji i na przedprożu kultury. Wszystko wielkie, stare i piękne w kulturze polskiej, krewnie arkađom wawelskim i pseudoklasykiem kolumnom, Łazienkom i pałacom, Chopinowi i Rogalinowi, szło wtedy na świat daleki.

Polska sama szła zaś drogą wiele, wiele zgrzebniejszą. Odmówiła rządów państw muzyków, tak samo jak panna „z dobrego domu” odmawia ręki i wdzięków skrzypkowi. Wolala je zachować — wdzięk i rządy — dla dżiarskich szwoleżerów, dla zabijackich rotmistrzów, dla pełnych tupetu pułkowników, no, a wreszcie dla podstarzałych już generałów. Ludzie, którzy krzywili się na to że premierem w Warszawie był Paderewski, uważali za całkiem naturalne żeby premierem był Sławoj-Składkowski. Stuletni prymat, jaki w myślach Polaka miała szablą nad intelektem, ponowił się raz jeszcze i raz



Paderewski w czasie pobytu w Nowej Zelandji

niejednego z ówczesnych „wielkich” ludzi w Polsce, od premierów takich jak Moraczewski, jak Ponikowski, jak Nowak czy kto inny. Ale myśl, że premierem w Polsce może być artysta, intelektualista, taki „pan co koncertuje”, wydała się Polakom w sposób ogromnie zgodny niewłaściwą i niepoważną. Gdyby ten sam Paderewski, zamiast znać oświadczyć i dobrze tuż naj-

jeszcze czarował. A raczej może czadził. Paderewski pojawił się także raz jeszcze w dziejach Polski. Jak cieni, jak mara, jak widziadło, gdy tamto wszystko przepadło. Na sali w Angers głosem drżącym inaugurował zebranie Rady Narodowej. Był już stary, głos mu się trząsł, ale w chwili jakiejś kończył słowami: „Nie zginie Polska, i żyć będzie, dla nas, dla was, dla całego



Pracownia w Riond-Bosson

wybitniejszych rządców Anglii, Ameryki i Francji, i być przez nich cenionym i szanowanym, zamiast od trzydziestu lat koncertować na całym świecie, w wiecznie przelotnych elitałach, zasiadał sobie od sześciu lat u Michalika czy Lourse'a, i tam, w gronie „sztangastów” wypowiadał w sposób namaszczony uroczyste brechty, miałyby dziesiątki wybiegawczy coby krzatali się i mówili: „o, o, to poważny człowiek, to, to głowa, czemu z niego nie zrobią ministra”. I dopiełby swego. Gdyby Paderewski się „zrównoważył”, gdyby poszedł wyraźnie pod batutę pana Romana albo pana z Belwederu, miałyby wreszcie kogoś za sobą. Ale nie poszedł. A zatem i nie miał.

Poważniony z krajem, a nie z tymi czy innymi ludźmi, niezrozumiany i nierozumujący, poszedł Paderewski do Szwajcarii, skąd od czasu do czasu rzucał jeszcze do Polski wielkie sumy na politykę,

„świata”, to już nie starość, ale wzruszenie drgało muzyką tych słów. Po raz wtóry i ostatni miał jeszcze przemówić do świata wtedy, gdy wyładowawszy w Ameryce, wzywał ją do udziału w wojnie. W Ameryce ten człowiek miał autorytet inny niż w Polsce, a głos jego wydzwięk jakże szerszy! Ten głos starych artysty, rzucony na szalę wahań, był silniejszy od głosu młodego pułkownika Lindbergha. Dziś, kiedy ruszają coraz silniej olbrzymie fabryki amerykańskie, kiedy dostawa motorów, samolotów, broni, okrętów, popędza coraz silniej machinę wojny, jest w tem i siła fatalna, niewytłumaczalna materialnie, nieodgadła dla ludzi ciasnych, niedostępna dla rozumów maluczkich, siła fatalna Ignacego Paderewskiego, syna starej, wielkiej, dziś przekreślonej przez historję, dawnej kultury polskiej.

KSAWERY PRUSZYŃSKI.



Willa Paderewskiego w Riond-Bosson

głowie marzyciela, poety, wieszca i muzyka, zamiast twardej głowy żołnierza czy lisiej — dyplomaty. Tylko w Polsce padł mu pod nogi ów fortepian, jak pada pod nogi ciężka kłoda drzewa...

Albowiem drogi Polski i drogi Paderewskiego rozeszły się były dawno, dawno temu, i po prawdzie, rozchodźcie się miały z biegiem czasu coraz, coraz więcej. Wystarczy się wcztać w dziecinne wspomnienia Paderewskiego, żeby zrozumieć wszystko. Paderewski był synem wielkiej kultury polskiej, w jej przedmierzchowym okresie; urodził się lat temu osiemdziesiąt, na trzy lata przed powstaniem styczniowym, którego skutki miały tak bardzo przeobrazić i Polskę, i jej klasę inteligencką. Ten jeden jeszcze kresowiec — urodzony na Podolu rosyjskim — jest synem nie ziemiańskim, ale synem administratora

i Starego Świata. Drogi jego zawadzały nieraz o Polskę. Rozchodzą się jednak zawsze, mimo fundacji pomnika grunwaldzkiego na pięćsetlecie Grunwaldu, mimo wielu ofiar, darów, występów, inicjatyw. Wszystko to bowiem zdumiewa i zadziwia, ale budzi zazdrość i niepokój. Polska tych czasów jest już bardzo biedna i pocytuje posiadanie za formę przestępstwa nieomal, robienie pieniędzy — za nietakt, a wydawanie tych pieniędzy na wielkie cele, tak niespodziane jak pomniki, tak dręczące sumienia jak fundacje, nieomal za objaw pychy. W dodatku, zarobienie tyłu pieniędzy w ten fortepian wydaje się jej niesprawiedliwie przesadne, a via koncert za shocking. Zarabiać może, rzeźnik, nie może artysta. A tu jak na złość, artysta zarabia, zarabia, zarabia! Przez te palce artysty, którym tak mistrzowsko prowadzi po czarnych i białych klawiszach, przecieka rokrocznie i rozplywa się jak

Wielka okazja

DOTYCHCZASOWEGO PRZEBIEGU
ALAN NIEMIECKO-SOWIECKICH mo-
wiątną siła wnosków. Przewidy-
m główna uderzenia niemieckiego
la nie na południe, jak się powszechnie

tych państw, jak Węgry. Może na tem te-
uda mu się skłonić oporną Hiszpanję. Na-
pewno czyni się próby pozyskania Francji
Pétain. Idzie potężny nacisk na Szwecję,
Finlandję, co do której Londyn miał niepo-
trzebne złudzenia, już jest w wojnie z
Moskwą.

Oczywiście, sztyl antykomunistyczny wy-
gląda dzisiaj niezwykle blado. Ale Hitler nie
gardzi żadnym sztydem, jeżeli spełnia jakiś
czas przeznaczony sobie rolę. Jasne jest jed-
nak że na tem nie wyjdzie jeszcze jego
„nowy ład”. Hitler może określić swój
„nowy ład” jako jedyną bezkonkurencyjną
rewolucję, lepszą niż jako „azjatycki”
wzrost Lenina. Wydaje się, że Hitler
zadzrosi zdawna Leninowi sławy i pier-
wszeństwa w pomyśle rewolucji światowej.
Chciałby zgnać swojego konkurenta, stanąć
na jego grobie i ogłosić zwyciężcę rewolucji
komunistycznej: oddał liczy się tylko rewolu-
cja narodowo-socjalistyczna.

ROZMIAR WYPADKÓW, JAKIE SIĘ
DZIEJA, IGH SENS I ROZPIĘTOŚĆ są tak
wielkie, że potrafimy zaledwie naszkicować
niektóre linje i zarysy. Starcie sowiecko-
niemieckie jest wydarzeniem niewątpliwie
zwrotnym w dziejach tej wojny. Starcie to
musiało nastąpić, albowiem ponad mane-
wrami taktycznymi, ponad zabiegami poli-
tyki dnia górnego stała pewna „linja gene-
ralna”, pewna trwała zasada, pewna dyspo-
zycja psychiczna, parcie namiętności.

Hitler dażył do zniszczenia Rosji przy po-
mocy Polski albo poprzez powaloną Polskę.
Dlaczego jednak wybrał akurat ten rok na
uderzenie, dlaczego zdecydował się zaatak-
ować teraz?

Odpowiedź nie będzie trudna. Nie tylko
chodzi tu o względy wspomniane już w po-
przednim rozdziale p.t. „Droga do Moskwy”
(w nr. 69 „Wiadomości Polskich”), a więc
przygotowanie długiej wojny kontynentów.
Hitler doszedł do wniosku, że Rosja nie jest
jeszcze dobrojna i że tempo produkcji
sowieckiej może stać się nieprzejmnie w r.
1942. Trzeba było zatem uderzyć na Rosję
anim wzmocni się ona na silach. Hitler
myślał, że jeżeli Stany Zjednoczone wejdą

sowieckiego wydają się niepewne. Rosja,
która wstanie z krwawej kąpieli, — wierzy,
że wstanie, — będzie chyba innego pokroju.
Kraj ten dojrzał niewątpliwie do nowej

Kilkadziesiąt listów nadesłanych służbowo,
„redakcyjnie” i prywatnie. Artykuły we
wszystkich pismach polskich, wychodzących
za ziemi brytyjskiej. Długa polemika z

POLISH PANORAMA

by Lewitt-Him
WITH AN INTRODUCTION
by Sir Hugh Walpole

This book displays a panorama of pre-war
Poland. It shows the simple charm of her
countryside and the impressive beauty of
her architecture. It leads us under the
thatched village roofs and into the streets
of the big towns, so proud of their
modern achievements and of the venerable
monuments of their great past.

PRICE 8/6 NET

M. I. KOLIN (Publishers) Ltd.
9, New Oxford Street, London, W.C.1

rewolucji, miejmy nadzieję, do lepszej, ma-
drzejszej rewolucji. Z Rosją niemiecką
może dogadać się Polska odbudowana. Co
więcej, w porozumieniu z taką nową Rosją
Polska ma wiele szans, wiele wspaniałych
zaiste możliwości. Jest rzeczą jasną, że
oparcie się na nowej Rosji jest dla Polski
nie tylko możliwe ale wysoce wskazane.

Trudno jednak powiedzieć, czy ta nowa
Rosja narodzi się teraz. Są to procesy długie,
którym nie sprzyjają wojny błyskawiczne.
Z prawdziwym żalem myślimy, że może
poprostu nie będzie czasu na narodzenie się
takiej Rosji.

**„WSZYSTKIEGO NALEŻY SIĘ OBA-
WIAĆ I WSZYSTKIEGO SPODZIEWAĆ**
OD WYPADKÓW W ROSJI” — poviada w
znakomitym artykule wstępny „The
Chance to be Seized”, najbardziej chyba
obiektywny i rozsądny tygodnik „Time
and Tide”. „Jeżeli Rosja nie mo-
że przetrwać, — a zatem jeżeli Rosja nie

Ksawerym Pruszyńskim w obu największych
tygodnikach. Zebranie dyskusyjne w posze-
czonych obozach. Wreszcie wzajemne
„wyjaśnienia” obu najbardziej zaangażowa-
nych w tej sprawie autorów. To wszystko
spowodowało artykuł p.t. „Nie emigracja, lecz
wojna”, który ukazał się przed kilkoma
miesiącami.

Myślałem że kwestja została wyczerpana.
Bynajmniej. Albowiem o artykule, datowa-
nym z dn. 1 lutego, wspomina się jeszcze
w maju niemal w każdym numerze „Wiado-
mości Polskich”. Piszą czytelnicy, wznawiają
dyskusję czołowi publicyści. Co więcej,
otrzymuję listy ze Szkocji i nie ze Szkocji,
bym „zabrał głos w tej sprawie, która na-
prawdę jest ważna”. Jeżeli Pruszyński,
Wiktor Winiarski i bardzo wiele korespon-
dentów bezpośrednio, a Zygmunt Nowakow-
ski i Antoni Słonimski pośrednio, wracają do
tego tematu, to znaczy, że wojna i emigracja, to
tematy, które nie mogą być zapomniane.

nie spodziewano, zada ciężkie ciosy
Niemcom i przynajmniej uchowa się jako
zorganizowana jedność, — wówczas kampanja
w Rosji sprawi, że ostateczna klęska Hitlera
jest przesadzona. Jeżeli jednak przyjmieni
rzecz najgorszą, a więc że obliczenia nie-
mieckie są dokładne, że armja sowiecka
zostanie zniszczona jako zorganizowana ca-
łość, że Hitler opanuje południową Rosję aż
po Baku, wówczas przyjdzie najbardziej zna-
mienny kryzys tej wojny. Hitler narzuca
bowiem wtedy swój pokój Rosji, zmuszając
Rosję, a przynajmniej Ukrainę i Gruzję, do
zawarcia sojuszu z Rzeszą przeciwko Im-
perjum Brytyjskiemu. Czyżby wtedy na-
szym stanowiskiem na Bliskim Wschodzie i
w Persji... Zalała swoje braki w paliwie.
Będzie starał się wywindować na najwięk-
szego „oswobodziciela” w dziejach. Nie-
wątpliwie ofiaruje wtedy światu pokój.
Jeżeli oferta ta zostanie odrzucona, jak się
to niewątpliwie stanie, wówczas Hitler zabierze
się do przygotowania ostatecznego ciosu w
Imperjum Brytyjskie... Jeżeli jego kampanja
w Rosji mu się powiedzie, będzie on sil-
niejszy politycznie i wojskowo aniżeli jest
teraz... Być może, że zostawiono nam kilka
miesięcy czasu. Jeżeli zużyjemy te miesiące
na dokonanie nadludzkiego wysiłku, wówczas
rzecz skończy się klęską Rzeszy.”

Zacytowałem ten głos, albowiem ujmuje on
trzeźwo sedno zagadnienia. Pozwoliłem so-
bie w poprzednim rozdziale podkreślić nie-
bezpieczeństwo „okopania się” Hitlera w
Rosji. Niebezpieczeństwo to docenia się w
opinji brytyjskiej. Dlatego woła się o nadlu-
dzki wysiłek. Jest on potrzebniejszy niż
kiedykolwiek — na polu polityki, produkcji,
wyobraźni, myśli — teraz, dzisiaj, gdy los
daje nam do ręki wspaniałą szansę. Wy-
zyskajmy ją, wiedząc, że od naszego wysiłku
teraz zależy tak wiele, może wszystko. Oto
są to wielkie decyzje, które stoją przed nami,
decyzje istotne, wobec których błędna
wszystkie inne, pobożne niejakie, motywy.
Nie zapominajmy o tych groźnych praw-
dach, jakie niesie kampanja Rzeszy prze-
ciwko Rosji.

ZBIGNIEW GRABOWSKI.
Londyn, dn. 30 czerwca 1941 r.

SALON FRYZJERSKI
L. TEMPLE'S LTD.
3, Lansdowne Row, Berkeley Street, W.1
Tel. MAYfair 6403-4
Perukarstwo Trwała ondulacja Manucure

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 50%
PLACINY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE
ZA BRYLANTY, ZŁOTO (18K) ZA UNIEJ
Biszuteria, klejnoty, kamienie szlachetne, srebro, platyna,
antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju. Gotówka natych-
miast. Rzecz J. K. Meziel przyjmie całe zakupywane
przez nas złoto. Prosimy o odwiedzenie nas lub zgłoszenia
przez listę pocztową.
LINDEN & CO., 55, New Bond Street, London, W.1
PIERWOTNY SKLEP JUBILEUSKI PRZY NEW BOND ST

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglii
aby zwracali się z zaufaniem ośobiście lub drogą
pocztową z receptami i z wszelkimi zapotrzebowaniami far-
maceutycznymi lub medycznymi do składów aptecznych:
John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1
(służba dzienna i nocna)
Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1
Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1
wszystkie pod ścisłą kontrolą
SAVORY & MOORE LIMITED
Aptekarzy Jego Królewskiej Mości
143, New Bond Street
LONDON W.1

O właściwą nutę

Kiełpiński każe poetom i intelektualistom
szorować pokłady... W Anglii nikt nie poleca
ucieczki i pisarstwo wykonywania podob-
nych prac!

Tęgo wcale a wcale tak pewnie nie jestem.
Przeciwie, wiem, że bardzo dużo młodych i
doskonale zapowiadających się pisarzy pełni
ciężką i twardą, ale w tej chwili konieczną
służbę żołnierską. I pełni ją ochotniczo, nie
dyskutując z pewnością żadnego rozkazu.

A z tem tak strasznie oburzającym szor-
owaniem pokładów... W doskonałej sztuce
Nowakowskiego jest kapitalna scena, w któ-
rej profesorowie uniwersytetu, poeci i arty-
ści-malarze obierają kartofle. Jakże świetnie
pochwylił autor ten motyw różnów, te
dyskusje nad najważniejszymi zagadnieniami
Polski i całej Europy — właśnie przy obiera-
niu ziemniaków! Patrzmy na te „Gałązki
rozmarynu” — i chwiliami dręgał mi coś w
sercu, chwiliami przejmował zimny dreszcz
przerżenia. Leż rzy byłem „odkomendero-
wany” do obierania kartofli, ileż razy częściej
aniżeli kolega z tapczanu, docent uniwer-
sytetu, który cobyś był młodszy ode
mnie żołnierzem, ale starszy wiekiem. Byłem
wtedy szlachanek, świeżo po maturze co nieco
przyspieszonej, — 17 lat, — więc „należało
mi się” częściej obieranie kartofli, aniżeli
będęobadź „profesorowi”. Niecierpiąłem
tego rodzaju służbowych zajęć, które wcale
zresztą nie są tak łatwe jakby się komuś
wydawać mogło. Wolalem wraz z asystentem
politechniki „czyścić izbę sypialną” — ordy-
naryjny barak, w którym podłogi nigdy domyć
się nie było można. To są wspomnienia
dawne. Ale mam i nowsze.

W październiku 1939 r. — zameldowałem się
u mnie w Coëtquidan posel na sejm i redaktor
największego w Polsce dziennika.

Zostawił w kraju żonę i dziecko, przyjechał
z Rumunii wprost do obozu. Błagał o jaki-
kolwiek przydział, byle „ściśle żołnierski”,
byle z perspektywą frontową. Przydzieliłem
go do świetlicy, która była wówczas, w całym
słowa znaczeniu in status nascendi. Kiedy
zostedłem tam popołudniu, pan poseł, bez
bluzy i z podwiniętymi wysoko spodniami,
zamiatął podłogę, wzniesając olbrzymie tu-
many kurzu. A sierżant — senator i wpły-
wowy polityk jednego z wielkich polskich
stronnictw — taszczył pracownicę ławki i
meldował służbie, że ze z kompanji sztabo-
wej nikogo do pomocy nie przysłał, bo
wszystko w służbie — a na wieczór trzeba
urządzić świetlicę „jakotako”. Kompanja
sztabowa z początku października 1939 r.
rzeczywiście pracami w świetlicy zajmował
się nie mogła — i niżej podpisany, jakkolwiek
oficer, jakkolwiek członek sztabu, nie ograni-
czał się w wielu wypadkach tylko do udziału
fachowych rad „ochotnikom”. I dlatego
owo szorowanie pokładu ani mnie, ani żadnego
prawdziwego żołnierza — wcale nie przera-
żało.

Zato niepokoi mnie co innego. Mianowicie
ta pośrednia aluzja, że „nie walczymy o to,
by szorowaniem pokładów w przyszłej Polsce
zajmowali się Mickiewicze i Słowacy”. Nie-
pokoi mnie to zdanie ze względu na autora,
którego rozwój pisarski śledzę z całym zain-
teresowaniem. Przed takim deformowa-
niem myśli przeciwnika należą p. Pruszyński
najbardziej najusilniej przestrzeż. Autorowi bar-
dzo słusznie i trafnie obrony zasad demokra-
tycznych nie wolno zapominać, że nawet cień
nie jest najstraszniejszym wrogiem

udział w tym wielkim dramacie dziejowym, jaki
rozgrywa się przed ich oczami, chcą Polsce
ofiarować wszystko: i życie, i zdrowie, i tę
wiedzę, to doświadczenie zawodowe, jakiego
nabyli przed wojną. Lekarze — a mamy takich
specjalistów, jakich mogą nam zardzić
najlepsze korpusy lekarskie wojsk sprzymie-
rzonych — chcą leczyć. Chcą pracować w
szpitalach nie tylko polskich, gdzie może nie-
ma dla nich przydziału, ale w szpitalach armji
sprzymierzonych, angielskich, francuskich, nor-
weskich, holenderskich i Bóg wie jeszcze
jakich. Inżynierowie — wspaniali specjaliści
we wszystkich dziedzinach — nie mają by-
najmniej zamiaru zrzucać mundurów, ale
chcieliby w tym mundurze pełnić jak najbar-
dziej celową, jak najbardziej odpowiadającą
potrzebom chwili, służbę.

A Słowacki, Zaleski, Czartoryski made in
1941? Słowacki z Zaleskim, którzy ochotni-
co zgłosili się, by pełnić wszystkie, a więc i
jak najprostsze obowiązki żołnierskie — będą
z pasją czyszili zarówno karabin maszynowy
jak i ten nieszczęśliwy pokład, i przez głowę
im nie przejdzie się skrzyż, bo wiedzą, iż ta
robotą jest w tej chwili potrzebna, tak samo jak
potrzebna i niezbędna jest praca w szpitalu
ich koleżanki. Konopnickiej, która jako sani-
tariuszka wykonywać musi z całą pogodą
ducha o wiele przykrejsze zajęcia. Nato-
miast ten sam Słowacki i Zaleski będą z
rozpaczą spoglądali po sobie, jeżeli każe się
im siedzieć w wygodnych fotelach i słuchać
pancerno-taktycznego wykładu prelegenta, o
którym wiedzą, że...

Mickiewicz i Czartoryski, który dzisiaj
służy oczywiście w wojsku, będzie wykonywał
ćwiczenia polowe, i stal czołgów będzie dla
niego synonimem tego czynu, za którym
teskni i który w tej chwili jest tak realny,
tak konieczny... Jego poświęcenie będzie tem
większe, im większe będzie doświadczenie i
przykład dowódcy, w którym chce on widzieć
nowego Bema, nowego Prądzińskiego czy
Sowińskiego.

Młody lekarz, może przyszły polski Pasteur
lub Koch, z największą wdzięcznością spojry
się na swego szefa, gdy ten mu powie przy-
rporcie: „Panie poruczniku, dosyć już
zajmował się pan lekcajami angielskiego i
czytaniem regulaminu służbowego. Jedzie
pan na stację do brytyjskiego szpitala zaka-
źnych chorób tropikalnych, gdzie wyższość pa-
nawo doświadczenie, nabyte w Paryżu, w
Dakarze i w Batawji”...

Podchorąży, który ma już za sobą dwuletni
służbę wojskową w czasie pokoju i w
wrzesniu 1939 r. front francuski, zarumieni się
ze wzruszenia, jeżeli kapitan mu powie:
„Jest pan młody — a młodzi, zarówno w
Europie jak w Ameryce, najłatwiej się ze sobą
porozumiewają. Ma pan wspaniałe doświad-
czenie wojskowo-praktyczne. I dlatego, właśnie
nie ty, mój chłopce, masz jechać za Ocean”...

Te, a nie inne zagadnienia są w tej chwili
największymi bolączkami armji, których żadne
surogaty w postaci najlepszych nawet odczytów,
pism czy uniwersytetów nie zastąpią. I jeszcze
jedno: inteligencja, która zapelnia nasze
szereg, ma niesłychanie wystraszony zmysł
krytyczny, obserwacyjny, analityczny i syntetyczny.
Dlatego jest wrogiem wszelkiej
flijki, wszelkiego zakłamywania, wszelkiego fra-
su. Doskonale potrafi odróżnić prawdziwe
ziarno od plew. Jest zwykła bytowa, nie-
nie, jakoby odnosiła się do rzeczywistości

Białej Ruś i Litwy...
Polski. Byłoby fatalne, gdyby zrosła
we Baku i Batum nie poszły z dymem. By-
łoby fatalne, gdyby w ręce niemieckie wpadł
lup nieuszkodzony.

PRZECIWKO OSTATNIEJ MOŻLIWOŚCI
PRZEMAWIA JEDNAK FAKT, że Hitler
nie zechce się dogadać z żadnym „czerwo-
nym Pétainem”. Musiałby to być Pétain
innego koloru, np. generał Biskupski, który
złożył nie dzisiaj rosyjską partję narodowo-
socjalistyczną w Berlinie. Ale czy tego
rodzaju samowolnie, nieznanym zupełnie
Rosji, może liczyć na jakiegokolwiek uznanie?
Brak Tuchaczewskiego odczuwa teraz Rzesza
bardzo poważnie.

Nie zapominajmy, że Rzesza organizowała
pracowicie kościół prawosławny i że na te-
nie general-gubernatorstwa powołali Niemcy
do życia aż cztery nowe biskupstwa pra-
wosławne. Przepuszczać zatem wolno, że
Rzesza wywieści takie hasła: powrotu do
gospodarki indywidualnej i przekreślenia
kolchozów (ale może dopiero po wojnie:
narazie kolchozy pracowałyby pod zarządem
komisarzy niemieckich), powrotu cerkwi.
Nawet jeżeli Berlin wywieści takie hasła, musi
się liczyć ze znacznym oporem środowiska:
przez dwadzieścia lat zgórą ziemia rosyjska
karmiona jest nauką komunistyczną. Niemcy
mogą sobie obiecywać, że pod ich nadzo-
rem niewolnik rosyjski będzie pracował lepiej
w basenie donieckim, w Magnitogorsku, w
Stalingradzie, w szybach Baku, ale mogą się
tętno bardzo przeliczyć. Zorganizowanie
Rosji jest trudniejsze aniżeli jej fizyczny
podbój.

Dopiero bowiem po podboju wystąpić
może groźne zjawisko lądu azjatyckiego:
jego bezwład, jego straszliwa mierzcha.

**HITLER WYSZKUBIE JUŻ POLITYCZ-
NIE SWÓJ MARSZ NA MOSKWĘ** przez za-
padzenie do „antykomunistycznej” zagrody

nie brakowało i że nacjonalizm był od-
nie pielęgnowany przez regimie sowieckie. Nie
wznośli tych zdań o tem, że owa
ducha rosyjska wzniesie się „wysoko, do
Boga”, jak wola prorok polskiego pisma,
albowiem poważni publicyści angielski
wiedzą, że nie byłoby to łatwe ze względu
na duży brak cerkwi, bezbożność i inne
jeszcze czynniki. Anglików bardziej intere-
suje zagadnienie jak sobie Rosjanie porządzą
na ziemi i w powietrzu a nie w niebie. W
danej chwili ciekawsze jest zagadnienie ko-
munikacji, dowozu surowców i t.d., aniżeli
sublimacja duszy sowieckiej, o której marzy
dziennikarzy polski.

Nie liczy na żaden przewrót duszy rosyj-
skiej, w każdym razie nie odrazu. Dajmy
spokój frazesom. Możemy liczyć na to, że
żołnierz czerwony będzie się był dobrze,
niekiedy świetnie, albowiem wychowanie jan-
czarskie rbił swoje, albowiem wiary talar-
listyczne mają swoich wyznawców, którzy
gotowi są przypieczętować swoją wiarę naj-
wyższą ofiarą. O tem wie każdy, kto zna
totalizm i wie także jak niebezpieczne są
przez to ruchy tego rodzaju. Należy sądzić,
że ludność Sowieatów poniesie wiele ofiar,
zdolna będzie do licznych poświęceń, choć
może także wykazać w wielu ośrodkach
odruchy niechęci, jeżeli nie wrogoci, wobec
czerwonej armji czy komisarzy. Dusza
rosyjska nie zmieni się bez przejścia przez
potężne klęski i ciosy. Może wtedy zdołać
się Rosja na to, na co zdobył się Mikołaj
Mikolajewicz w swoim manifestie do Pola-
ków.

Nabierzemy wiary w duszę rosyjską,
jeżeli wyrzeknie się głośno swojego układu z
Rzeszą, jeżeli opowie się jasno za odbudową
państwa polskiego.

Nie wiemy jednak, czy ta dusza rosyjska
będzie akurat duszą sowiecką. Losy régime'u

fachowy znawca swego przedmiotu, o prostym,
żołnierskim, uczciwym charakterze —
jest nie tylko szanowany, ale wprost kochany,
jak starszy, doświadczony, jak brat, jak
ojciec. Niech tylko posiada znajomość żoł-
nierskiego rzemiosła (a zwłaszcza zasad nowo-
czesnej walki) i podstawową znajomość tych
objawów, które w późniejszych warunkach
muszą zachodzić w polskiej duszy — a ci
Mickiewicze, Słowacy, Zalescy oraz Pastury
i Kochy — będą nie tylko szorowali pokład,
gdy tego zajdzie potrzeba, ale pójdą za takim
dowódcą w największym ogniu, w największe
niebezpieczeństwo.

Zagadnienie, najważniejsze jakie się wyla-
nia w dzisiejszej wojnie wojsko, a w armji
polskiej szczególnie, jest zagadnieniem celo-
wości użycia i jednostek bojowych i każdej
jednostki ludzkiej. Naturalną reakcją na
wszystkie błędy, popełnione przed wrześniem
i w czasie września 1939 r., jest zarwanie z
rutyną, chociażby jak najbardziej uswieconą,
jest sen nie o szpadzie i lancy ułanjskiej ale
szkockiej, srebrny sen o oddziałach najbardziej
zmechanizowanych, przystosowanych jak
najlepiej do działań i tempa nowoczesnej
wojny, o walce, w której walcie walory
ducha żołnierskiego, a więc dyscyplina ze-
spolona z indywidualizmem, z osobistą
inicjatywą — odegrały zasadniczą rolę. Nie
zapominajmy, że w przeciwieństwie do wojny
światowej 1914—1918, decyduje nie masa,
ale zdolna, inteligentna jednostka. Człowiek,
którym z radością i świetnie będzie dowodził
młody aspirant lub podporucznik, kosztuje
dzisiaj to samo co w r. 1914 kosztowała
wyekwipowanie pułku. Chodzi o celowe,
racjonalne i szybko zużytkowanie tego dy-
namizmu i tego doświadczenia, jakiego na-
brali już nasi żołnierze i w Polsce i w Francji.
Chodzi, mówiąc najogólniej, o starcie tej
rdzy bezczynności, o wiele niebezpieczniejszej
dla nas, aniżeli dla jakiegokolwiek innej „siły
zbrojnej”.

To wszystko są zagadnienia ogromnie do-
niosłe, z których świetnie zdaje sobie sprawę
armja, ale które, z przyczyn najbardziej
zrozumiałych, trudno roztrząsać w niniej-
szym artykule. Wojna dzisiejsza, oprócz
dywizyj czołgów i samolotów, przyniosła jesz-
cze nowy czynnik walki: dostosowanie do
swoich celów wszystkie zdobycze psychologii.
Walka toczy się zarówno o duszę całych
społeczstw jak każdego poszczególnego
człowieka. Z tego też powodu zarówno skala
trudności jak odpowiedzialności dowódcy
została dzisiaj podniesiona do dziesiątej
potęgi. Następuje przewrót w stosowaniu
wszystkich, najbardziej dotychczas uznanych
wartości. To co było doniosłym wiekiem wojs-
kowej w Polsce, więcej — to co mogło
obowiązywać jeszcze w czasie tworzenia
armji we Francji, już nie wystarcza, już nie
wytzymuje i praktyki życia i próby tych
zadań, jakie nakłada chwila bieżąca. Oświata
w wojsku, jakkolwiek bardzo ważna, nie jest
jedynym, cudownym środkiem na rozwiązanie
tych wszystkich zadań, jakie przed naszą armją
stawia historia wojsła a dostosowanie się do
celów tej wojny w szczególności. Najlepsze
odczyty, lekcje języka angielskiego, chóry,
teatry i odczyty — są to tylko półśrodki. I
nie mogą one żadną miarą urastać do zaga-
dnień podstawowych.

Rozwiązania tych najżywniejszych zaga-
dnień jak i losy armji polskiej są w rękach
naczelnego wodza. I dlatego jesteśmy o nie
spokojni. Wydał Słowski nie jest tylko
świetnym żołnierzem ale i wybitnym intelek-
tualistą oraz psychologiem. Nie ulega wątpli-
wości, że śledzi on z natężoną uwagą rozwój
tych wszystkich zagadnień o moralno-wojs-
kowym podłożu. I rozwiąże je napewno.

TADEUSZ KIEŁPIŃSKI.

SKARBNICA POLSKA

STANISŁAW WITKIEWICZ

„Bitwa pod Grunwaldem“ i „Hold pruski“ Matejki

Dla artysty, który potrafił z krainową doskonałością ukazać środkami malarstwu wyrazy stanów psychicznych w „Skardzie”, „Rejtanie” i „Unji”, takie zagadnienie, jak „Bitwa grunwaldzka”, było zbyt łatwe, o ile idzie o wyraz uczuć. Im prostsze, gwałtowniejsze są uczucia, poruszające człowieka, tem dobitniej malują się one na jego twarzy, tem łatwiej dają się odtworzyć i łatwiej mogą być zrozumiane przez widzów. Zagadkowa głębia dusz, wplątani rysami, delikatnymi, nie dającymi się ująć w słowa odchyleniami linii. Proste i niczłonne, żywiołowe uczucia, towarzyszące walce na pięści i na miecze, wyrażają się wydatnymi, grubymi kształtami. Wśród tego toku i ścisłu, rzeźbienia duszających się za gardła, splecionych w klub tłumów, skala uczuć wala się od panicznego strachu do morder-



WITOLD

czej zaciekleści. Indywidualność jednostek, jakkolwiek wybitna, jest jakby przygnieciona temi najkonieczniejszymi w tej chwili uczuciami. Bieć bez gniewu, być rzućnietym bez bólu, traktowanemu i zabijanemu bez strachu i grozy, rzadko komu się udaje, a wszystko to są uczucia i ich wyrazy najprostsze, najelementarniejsze, których wyrażenie w malarstwie nawet mniej wielkim, mniej głębokim talentem może być dostępne, cóż mówić o Matejce z jego tak niesłychanie wybitną zdolnością odczytania i odtwarzania olejin ludzkich uczuć!

Poznawszy z historii średniowiecznych wojen warunki bitwy przy owocnym uzbrojeniu, poznawszy te brzo i wydedukowawszy stąd możliwe w takiej walce zdarzenia, Matejko porwał ten cały materiał wiedzy na skrzydła swego temperamentu i pomógł w burzy, w huraganie swojej wyobraźni, idąc myślą do samego dna za tą morderczą pasją, która spłotała te tłumy ludzkie w jeden klub, szamocący się w straszliwym uścisku. Nadziewają się one na ostrza kopij, platają się na dwoje mieczami, kłują się nożami, prują się oszczepami, dławią się arkanami, miazdzą się maczugami i gniołają, kopią się, tratują, duszą się pięściami i drą się na sznaty. Ludzkie mordercze szaleństwo udziela się koniom, które gryzą



BISKUP FERBER I KREUTZER

się tłocząc się na siebie, gniołając jeźdźców, tratując trupy, rozgniatając rannych, chłupiąc w osłigłych krwiach kałużach. W każdej pierś wymierzone setki kopij i dzid, pod pancernie, jak pod skorupę żółwi, sięgają mordercze pugnaly, w łby zakute wały błyskawice mieczy i razy maczug, oczy zasypuje kurz i strzały, lecące z tatarskich i litewskich ciecwi. Furkoczą proporce i sztandary, rozmatane pedem, łopocą plachty białych płaszczy; potworny chrzęst zbroi, miłocnych razami mieczy i cepów, zgrzyt żelazujących się po stalich ostrz, ryki wściekłości, krzyki rozkazów, wrzask trąb, charakterne konania, jęki bólu i zgrozy, wyki koni i niewiadomo jeszcze jakie odgłosy, wyciągające w takich straszliwych cyklonach ludzkich walk — oto obraz Matejki.

Pasja jego niesłychanego temperamentu wciela się w każdą twarz, błyskająca oczami z natłoku, w każde ramie wzniesione do ciecía, w każde napięte nogi, odsadzających się do skoku, w każdą kopję, miecz, luk, w te furkoczące plachty, w piorunujące, szarpane wichrem, w tumany kurzu i kłębowa obloków, w każdą błachę pancerna, w każdy pas rycki, w każdy rząd na koniach, w każde żelazo wędzida, w każdy szeregół, który wola sam za siebie: „Jestem!” i zmusza widza do oglądania siebie i — nie widzenia „Bitwy pod Grunwaldem”.

Żeby Matejko wykonał całość obrazu tak jak są wykonane wszystkie figury i grupy, żeby całość tej strasznej rzeźni ludzkiej ujawniała się z tą dotykającą prawdą, z jaką się świeca części zbroi i broni, z jaką ruszają się ręce i nogi, z jaką patrzają oczy, z jaką



BITWA POD GRUNWALDEM

krzyczą lub zaciskają się w wysiłku usta, żeby całość obrazu była jak te ślady kopyt w ziemi krwią nasiąkłej — obrazu robił wrażenie straszliwe, nie do przeżycia. Ale obraz jest tak namalowany, tak pojęty, że całości tej bitwy nie można widzieć z tą siłą, z jaką się przedstawiają pojedyncze fragmenty.

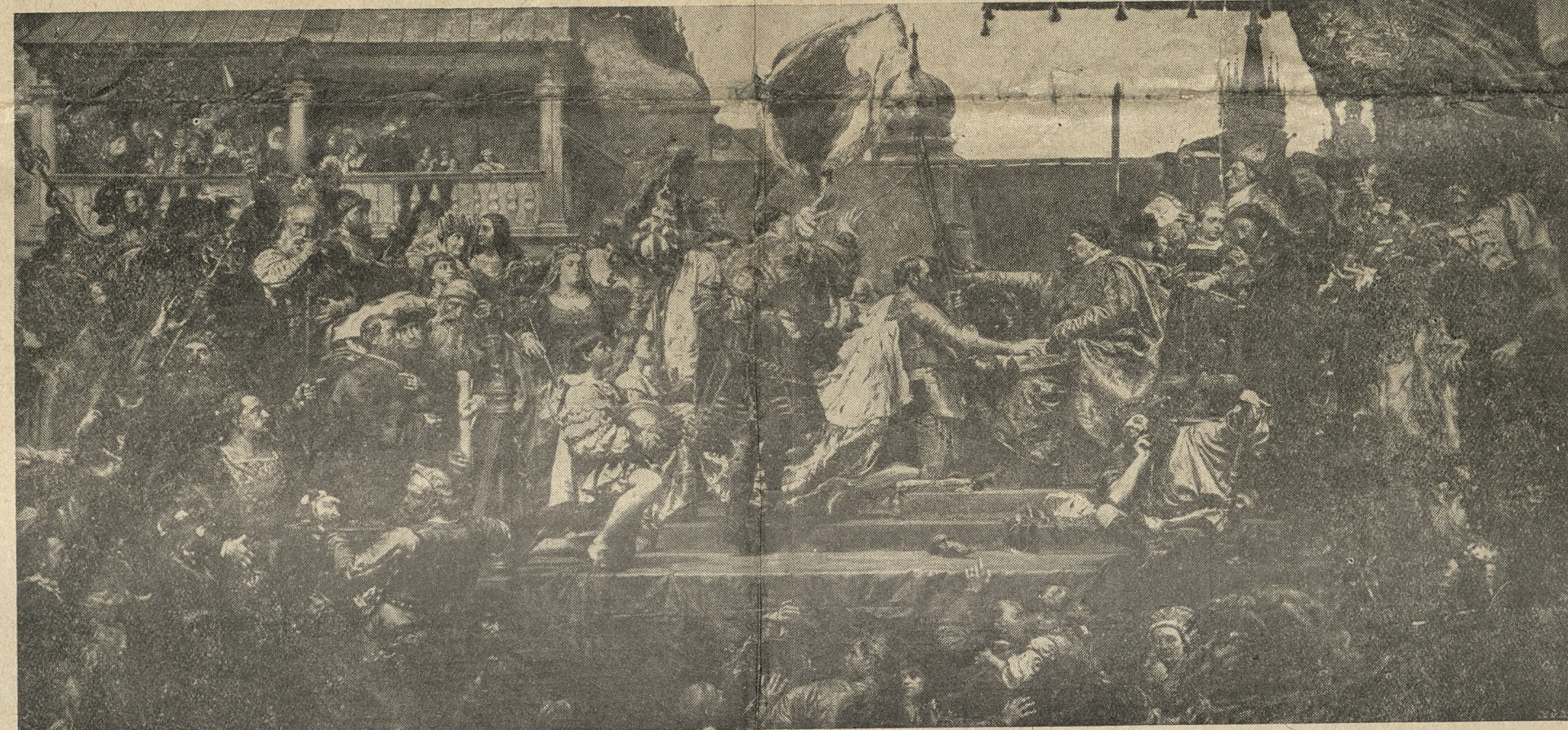
Wszystko się stłoczyło ku ramie obrazu, wszystko się zwałilo na plan pierwszy, a wskutek tego że wszystkie przedmioty kończą się na ramie, doznaje się wrażenia jak gdyby poza tę linię, jakby zaczarowaną, nikt i nic już nie mogło się przedostać, jak gdyby jakaś przezroczyta zapora stała w tem miejscu, pozwalając widzieć walczących, lecz nie pozwalając im wydstać się przez

gajac aż na dalekie wzgórza, gdzie ustawili Jągiel i Zbigniewa Oleśnickiego i Dippolda z Kikieryc? Czy mogli nie widzieć, jak przebijają mistrza Uryka, jak arkan tatarski dusi Markwarda, jak leży pod kopytami przepiekny Konrad Lichtenstein, jak wali się z konia ktoś inny? — Nie mógł, on musiał ich wszystkich widzieć i musiał ich namalować tak żeby inni widzieli.

Nigdzie może ta średniowieczność umysłu Matejki nie jest jawniejsza, niż w tym obrazie. Stojąc przed nim, zaczyna się żalować, że ci tam z obrazu, którzy szaleli w walce, nie mogą go widzieć. Oniby dopiero ocenili, jak trzeba, te rozkosz oglądania rzezczy, namalowanych do złudzenia, i ludzi jak żywych, podobnych tak że każdy każde-

scena ujeta jest w postaci ludzkiej, widziane z profilu, i cały charakter obrazu, jego czystość i wyrazistość kształtu, jego pyszna, dotykająca plastyka, wszystko to robi wrażenie nie kolorowej rzeźby. Jest to tak uduchawiające, że od wielu już lat propaguje już myśl, która powinna się urzeczywistnić, gdyż jak mi się zdaje, byłaby ona i pomnikiem sztuki Matejki i pomnikiem historii i ozdobą tego cudownego rynku krakowskiego. Trzeba odnownego rynku krakowskiego. Trzeba „Hold pruski” wyrzeźbić ścisłe podług obrazu i w tej samej wielkości i umieścić na ścianie Sukiennic, nawprost ulicy św. Jana, w tem miejscu, gdzie widać ślady wypowia-głego obrazu. Ta scena z czasów potęgi Polski odbyła się tu, na tym rynku, i na tle tych samych Sukiennic, które Matejko umie-

malowniczością rozgrywa się cała na twarzach, co będąc odbiciem jego własnej, zawsze tej samej duszy, nadają całemu pomysłowi spójnie i jednolitość wyrazu. Ale Matejko, który obraz wykonywał, rozważa, rozumuje i wprowadza doń różnorodne pierwiastki myślowe, wynikające z innego stanu duszy, z innego usposobienia, a które w malarstwie muszą przybierać pewne formy i barwy, muszą zabierać część obrazu dla siebie, i to z takim despotyzmem że pierwotny, jednolity jego charakter ulega rozbięciu — chwycie się i rozprasza. Widzi on wielki wypadek historyczny, ujęty w kilka postaci, które wyobraża z jasnością, siłą i dobitnością niesłychaną, lecz on jednocześnie tę historię bada w szczegółach, on wie co się



HOLD PRUSKI

siebie. Stłoczenie wszystkich, zbiecie w masę, które bądźco bądź wyraża całą okropność walki, w której ludzie mordowali się z bliska, wynika z wadliwej perspektywy przestrzennej i powietrznej, z wadliwego oświetlenia i zatracenia właściwego natężenia wielkich plam barwnych.

Właściwie obraz taki, sądzony z punktu prawdziwości wrażenia danej sceny, jest całkowicie wadliwy, i tylko nasze życie się z konwenansem, panującym w sztuce, pozwala nam się gościć do pewnego stopnia. Jego budowa jest nie artystyczna, lecz techniczna, jest on przekrojem bitwy, gdyż inaczej malarz nie miałby zupełnie dostępu do podobnej sceny. Obraz wyobraża jakoby wnętrze kotła, w którym wre ta walka, sam środek tego waru, i widz, któryby chciał widzieć coś innego, prócz ostrza dzidy, która go pruje, prócz kopyta konia, który go depece, nie ma absolutnie takiego punktu widzenia, i oto bitwę przecina się napół i wytwarza się sztuczne oddalenie, poza tą szybą idealną, która nie daje walczącym wprawy i stratować widza i malarza. Z drugiej strony, chce widzieć taki obszar pola bitwy, jaki obejmuje obraz Matejki, trzeba by było odejść tak daleko, że wszystkich tych fragmentów, które porwały jego pasję malarzską, nie byłoby widać — a tem mniej w tym wypadku, gdzie wszystko jest w szalonym ruchu.

Matejko takiej ofiary nie mógł uczynić! Nie mógł, bo go ciągnęła ku obrazowi radosna żądza namalowania jak najdoskonalej wszystkiego co w nim się znajduje; nie mógł, bo istota jego talentu — wyraz ludzkich uczuć, życia człowieka — wymagała, żeby on wszystkich tych ludzi pokazał w walce, że wszystkich ich ryckiemi przymiotami i oznakami; nie mógł, bo każda z tych postaci, to jeden z tych wymienionych w historii sławnych wojowników, których Matejko znał z nazwiska, z imienia i z zawołania, znał prawie osobliście. Czy mógł opuścić Witolda, Zawiszę Czarnego, Zyndramę z Maszkowic, Mikołaja Trąbę i Żyżkę z Trocnowa i Domarata z Kobylan i tylu, tylu innych, których wypisał w katalogu, się-

goby poznał. Widz nowoczesny, w którym tkwi już cała długowieczna kultura artystyczna, jest szarpany sprzecznymi wrażeniami, które mu psują to jedynne wrażenie, jakie dzieło sztuki powinno czynić, i odchodzi znużony i zniechęcony. Kto jednak zdoła się przemóc i będzie oglądał fragment z fragmentem, ten będzie się zdumiewał pysznemu rysunkowi, jak zdumiewa się siłę wyrazu i ruchu, temu namiętnemu wrznięciu życia, które szamocę się na olbrzymim płótnie.

Spomiedzy szeregu wielkich obrazów Matejki, „Hold pruski” jest jednym z najjaśniejszych skomponowanych, pod względem zaś doskonałości pojęcia, sformułowania i namalowania figur jest bodaj najświetniejszy. Cała ta grupa, króla i kłęczących i stojących przed nim Prusaków, robi wrażenie czegoś wyprzedzonego w brzoje, czegoś niemaruzszanie doskonałego, ujętego w formie, której jasność, czystość, ścisłość, pewność i świadomość jest szczytem opanowania środków malarstwa. Ten król i sztandar z czarnym orłem i potężne postaci Albrechta i towarzyszy i te dwie figury paziów, tak niezrównane w rysunku, tak piękne w stroju i żywe, i ten magnat w zielonej akşaminiowej sukni, który jest najspanialszym wcieleniem ducha odrodzenia, ducha który unosił się nad całym światem europejskim, a w Polsce był tak u siebie jakby się tu urodził — wszystko to technicznie siłą, powagą, przepychem, wielkim spokojem ludzi pewnych swojej mocy, spełniających czyn, który im się wydaje nieodwołalny. Matejko jednak wie co z tego będzie po wiekach — wie i każe wiedzieć o tem Stanczykowi.

Cała górna część obrazu, gdzie główna

ścił w głębi obrazu. Kamienie mówią dużo, ale powiedzą więcej jeszcze, kiedy z nich będzie wołał tak potężny głos wielkiej sztuki. Mieć zawsze przed sobą z taką siłą oddaną chwilę z wielkiej doby przeszłości, jest to zapewne silniej odczuwać upadek i nadzieję, ale jest to zarazem stałe mieć przed oczami świadomość zmienności losu narodów, które w wielkich okresach czasu mogą przechodzić kolejno od potęgi i chwwały — do upadku i niewoli, i naodwrot, odradzać się i wracać do niezależności i siły. „Hold pruski” na rynku krakowskim byłby zarazem jakby głosem końcowych słów psalmu: „Ale i ty, Babilon, strzeż dobrze swej głowy!” — mówiłby on do tych, którzy niegdys przysięgali na kłęczkach królowi polskiemu, a którzy dziś...

Gdyby Matejki nie porwała zwykła rozbieżność myśli, która mu każala na pierwszym planie umieścić parę anegdot obyczajowych, obraz ten byłby wzorem kompozycji, z nadzwyczajną samowidczą celu przystosowanej do sceny, którą ma przedstawiać. Te sceny anegdotyczne nie tylko rozrywają świadomość widza, ale naruszają budowę obrazu, która wymagałaby tu szerokiej, wielkiej płaszczyzny, jakby wspomnieli, utrzymującą całą ciężką górą część sceny, i będącej zarazem przeciwstawieniem natłoku figur po lewej stronie. W Matejce było jakby dwóch ludzi, dwóch artystów, którzy nie zawsze umieli stąpić siebie w jedno i nadawać wspólnemu dziełu jednakie wrażenie całości. Matejko, który tworzy obraz w wyobraźni, widzi go jako jednolity wyraz danego zdarzenia, wynikającego ze splecia się sprzecznych lub zgodnych uczuć rozmaitych ludzi. Widzi scenę, która ponad swoją

działa dnia tego i tego lub mogło się dziać, gdyż obyczaj na to pozwalał lub tego wymagał, i wszystko to usiłuje wtłoczyć. W stosunku do przedstawionego w obrazie faktu zajmuje on dwa stanowiska: historyka i spisywacza anegdot; w książce mogą się one łączyć i dawać całkowite zobrazowanie chwili — w obrazie jedno drugiemu przeszkadza i niszczy spójnie jego kompozycji.

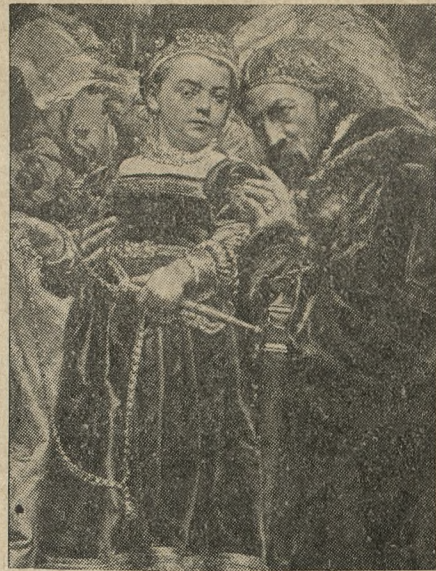
Nietsze mówi, że się czasem lubi nie tylko to czego się pożąda, ale same pożądanie, sama funkcja, która służy do zdobycia czegoś, staje się potrzebą, staje się konieczną czynnością duszy i ciała. W sztuce spotykamy się z tem ciągle; a u Matejki w stopniu najwyższym. On cały swój świat musiał wybudować sam, własną myślą i uczuciem, nie widna, nie ogólniki konwencjonalne, ale żywych ludzi, żywe delje, żupany, zbroje i pióropusze, i studia w tym kierunku stano-wią ogromną część pracy, którą zużyła jego twórczość. Bezkarne tego się nie robi, ogarnia czasem człowieka pasja do widzenia, dotykania, odtwarzania tych rzeczy, do ujawniania, choćby dla własnego zadowolenia, całego bogactwa erudycji historyczno-obyczajowej i związanych z nią szczegółów rzeczowych, archeologicznych. Ten drugi Matejko, ten niezmordowany pracownik, ten szczerzy malarz, rozkoszujący się zjawiskami wzrokowymi dla ich własnej treści, ten malarz i kronikarz bierze górę nad Matejką — twórcą idei obrazu, i zatracca ją w mnóstwie szczegółowych, mniejszego znaczenia zagadnień czysto malarzskich lub obyczajowo-archeologicznych. Jeden Matejko czuje głęboko i namiętnie, z siłą i ostatecznym napięciem duszy, to co się dzieje z upadającą Ojczyzną, sprzedana i zhańbiona, ale ten drugi Matejko, ten malarz realistyczny, ten wiecznie pasjonowany odtwarzacz rzeczywistości, w sali, w której rozgrywa się tragedia rozbioru, widzi na drzwiach kawałek oberwanego złoczonego ornamentu i pozostałą po nim plamę surowego drzewa, widzi rozdartą akşamitną draperję i wszystkie haftki i петельki Rejtanowego kontusza i brylanty orderów i polyski atlasów i mięk-

kość skóry i zgniecione pióro i leżący na podłodze dukat, i z całą namiętnością wielkiego temperamentu, rzuca się na te drobności i niedrobności i zapominając o Polsce, Rejtanie, Stanisławie Augustcie, o tragedji straszliwej, wpija się w nie z całą siłą swego wielkiego talentu i maluje dotykające, wypukłe do najmniejszego polysku, do naj-słabszego refleksu, żywe własnym osobistym życiem rzezczy, które zajmują pewną przestrzeń, z którymi coś się dzieje i które pochłaniają część uwagi widza. To jest jeden z tragizmów matejkowskiej sztuki, w tem tkwi jej sprzecznosc wewnętrzna i niezgoda z psychologią widza, w tem widnieje brak koordynacji między aparatem wzrokowym a stanami psychicznymi. Nie można jednocześnie cierpieć na widok nieszczęścia i oglądać materiał, z jakiego jest zrobione ubranie ludzi, którzy są tem nie-



WIELKI MISTRZ

szczęściem dotknięci. Świadomość w tym wypadku panuje nad zmysłami i pozwala oku tyle tylko widzieć, ile to jest potrzebne do uświadomienia nieszczęścia. Ilekż razy mamy oczy otwarte, patrzmy, a nie widzimy nic! Patrzycie a widzicie — są to dwie zupełnie różne sprawy. Otóż Matejko czasem nie umiał, nie mógł tak skoncentrować swojej świadomości, żeby logicznie utrzymać wrażenie, które leży w założeniu obrazu. Wyobraźmy sobie, że ktoś opowiada o scenie „Holdu pruskiego” i jako jeden z najważniejszych epizodów historycznych — w którym kryły się taiego znaczenia wypadki, uważa obicie przez jakiegoś człowieka, może przez specjalnego urzędnika, pauprów krakowskich różgami, żeby pamiętały o dniu tym. Cobyśmy myśleli o umysłowości takiego opowiadacza? A jednak Matejko czyni to w swoim obrazie, obrazie tak zresztą świetnym. W malarstwie miejsce, które przedmiot zajmuje, jego wielkość w stosunku do innych przedmiotów, siła światła i barwy, które zeń promieniują, stanowią o jego większym lub mniejszym w obrazie znaczeniu; ziołwiby na pierwszym planie ilustrację anegdoty obyczajowej z życia przeszłości, Matejko nadał jej znaczenie wyjątkowe, uczynił ją współrzednym czynnikiem w akcie, który się odbywa u góry —



ZYGMUNT AUGUST I OLEŚNICKI

współrzednym ze złożeniem przysięgi holdowniczej przez księcia Albrechta. W tym, jak w innych obrazach, jest pełno, zawsze prawie podobnych, kompozycyjnych niekonsekwencji, które są tem bardziej widoczne ze Matejko z całą siłą plastyki wydobwał każdy taki motyw, że nie wchodził w żadne kompromisy, i ten swój zawzięty realizm wkładał w każde pociągnięcie pędzla, na wszystkich planach całego obrazu. I tylko dzięki niesłychanej potędze wyrazu, jaka bije z twarzy przez niego malowanych, dzięki olbrzymiej sile charakteru jego postaci, obrazy jego nie stają się studiami martwej natury i wzorami zabytków archeologicznych. Zniżyć o odrobnie skalę napięcia uczuć i siłę ich wyrażenia, a dusza uleci z matejkowskich obrazów, pozostawiając skorupę barwnych i dotykające prawdziwych strojów, muzyczną garderobę, która zdumiewa bogactwem i przepychem okazów. Ale we wszystkich obrazach Matejki, z dobrych chwil jego twórczości, wyraz życia jest z tak niesłychaną siłą wpiętyjowany na twarzach, z taką nieustraszoną pasją wrąbany w ich mięśnie, że człowiek żywy, czujący, drgający namiętnością i wzruszeniem, góruje w nich ponad przepychem purpury i aksamitów, adamaszków, atlasów, altembasów, sobolich szub, lśniących perel, złotych pasów, turkusów, perel, strusich i orlich piór, dywanów perskich i makat tureckich, skór tygrysich i lamparcich, weneckich koronek, złotych haftów, skór korduańskich — góruje ponad bezczennym bogactwem cywilizacji, łączącej w sobie blaski wschodniego i zachodniego świata.

STANISŁAW WITKIEWICZ

*) Z książki „Matejko”.

Dn. 11 lipca b.r. w piątek o godz. 19.30 staraniem P.E.N. Clubu polskiego odbędzie się w OGNISKU POLSKIM, 55 Princes Gate

„ŻYWE DZIENNIK”

Wznowa w nim udział następujący pisarzy przebywający na terenie Wielkiej Brytanji:

Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Maria Kucowiczowa, Janusz Meisner, Maria Pawlikowska, Ksawery Pruszyński, Antoni Słonimski, Wacław Soski, Mieczysław Szerer, Stefania Szurlej-Kossowska, Tymon Terlecki, Irena Tuwim, Stefania Zahorska.